



**JERZY
BROSZKIEWICZ**

**LE
D
Z
E**



Jerzy Broszkiewicz

OBCY LUDZIE

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-60-6

Copyright © Estymator Jacek Chołoniewski 2020

Tekst: Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975

Projekt okładki: Marcin Labus

Spis treści

[WSTĘP](#)

[CZEŚĆ PIERWSZA](#)

CZEŚĆ DRUGA

CZEŚĆ TRZECIA

WSTĘP

Książka dzieli się na trzy części. Pierwsza ukazuje dzieciństwo bohatera powieści, Henryka, druga — pierwsze wejście w dorosłość, gimnazjum, trzecia — rzeczywiste dorastanie, także polityczne. W sumie kilkanaście lat, obejmujących prawie całe międzywojenne dwudziestolecie aż po ostatnią przedokupacyjną wiosnę. Pierwsze młodzieńcze bunty wobec zła świata, wybór ideologii (od kontaktów z grupą faszyzującą po świadomą przyjaźń z młodzieżą komunistyczną), próby ustalenia wzajemnych relacji „świat — a ja”, „ludzie — a ja”, ukazane są tu w ostrym przeciwstawieniu ze światem „obcych”, strasznych mieszczan, przywykłych do kompromisu i egoistycznej wygody.

(Marta Fik: „Broszkiewicz”)

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

W całym domu było brązowo, cieniście, skrzypiąco. Jedynie okna jadalni często stawały się ciepłe od słońca. Reszta mieszkania łatwo i przedwcześnie pogrążała się w szarościach i cieniach. Meble z ciemnego drzewa, ciemnozielone kotary na drzwiach, firanki koronkowe i haftowane. Obrazy już od wczesnego popołudnia robiły się czarne.

Henryk nie znał swoich rodziców. Właściwie nie miał ich. Miłość, nadzieje i obowiązki tych ludzi względem syna skończyły się w dwa miesiące po jego urodzeniu. W dalekim obcym mieście zaskoczyła ich — idąca przez udręczony pierwszą wojną światową kontynent — epidemia influenzy. Pierwszy odszedł ojciec. W dwie doby po nim matka. Wspólny grób pozostał na cmentarzu dalekim i obcym. Henryk nigdy nie zdołał go odwiedzić.

W salonie za to na jednym ze stolików leżał album. Henryk czasami siadywał nad nim. Przyglądał się kilkunastu spłowiałym na jasny brąz, wprawionym w gruby karton fotografiom. Młoda dziewczyna w pensjonarskim fartuszk. Młoda dziewczyna z grubymi warkoczami. Młoda panna w wielkim kapeluszu. Panna młoda wraz z mężem: welon, kwiaty, jej nieśmiały uśmiech, jego uważne spojrzenie. Młoda mężatka z wysoko upiętym kokiem, w luźnej sukni kryjącej pogrubiałą sylwetkę... oto niemal wszystko.

Henryk odkładał album. Rodzice — co to znaczy?

— Zastępuję ci matkę — mawiała babka.

— Zastępujemy ci matkę — dodawał dziadek tkwiący w swoim nieobecny, mglistym zamyśleniu.

Oczywiście dziadek kłamał. Nikogo nie zamierzał ani nawet nie próbował zastępować. Wystarczyło nań spojrzeć: każdy wiedział, że on przecież nie bardzo nawet chce wiedzieć, co mówi. Bąkał swoje zdanie pod nosem, patrzył w bok — zwykle za okno — pocierał palcem pulchny, różowy policzek. Cóż obchodził go dom, ludzie i cały świat?

Henryk zaś w ogóle nie mógł go obchodzić.

Co innego babka.

— Zastępuję ci matkę — mówiła.

Właśnie matkę. O ojcu bowiem nie wspominała nigdy. Raz tylko Henryk usłyszał nie dla siebie przeznaczone słowa: Nasz herb, nasze tradycje, majątek... a tu taki parweniusz? Ach Wando, Wando! Jak mogłaś? Jak ona mogła?

Nie od razu Henryk pojął, o kim mowa. Zapamiętał jednak sobie matczyne imię oraz pogardę w głosie babki, choć taka pogarda była rzeczą zwyczajną. Natomiast sprawą całkiem niezwykłą było co innego. Oto w pytaniach: Jak mogłaś? Jak ona mogła? — głos babki załamał się niby w płaczu. I tego już nie sposób było zapomnieć.

Po jakimś czasie Henryk spytał dziadka, co to jest „pa...paw-re-niusz”. Dziadek uśmiechnął się czule. Poprawił: „parweniusz”. I wyjaśnił: cham. Jedno słowo: cham.

Henryk od razu poszedł do salonu, siadł nad albumem. Uważnie przyglądał się panu młodemu o przenikliwym spojrzeniu i małym, ciemnym wąsiku. Niezbyt go to wszystko w gruncie rzeczy obchodziło. Ale doszedł do przekonania, że dziadek, jak zwykle, uchylił się, uciekł albo skłamał. Po prostu — jak to on — uchylił się i nakłamał.

Babka natomiast nie miała zwyczaju uchylać się ani kłamać. — Zastępuję ci matkę — oto jej słowa. Ale w istocie stać ją było na zastępowanie obojga rodziców. To przede wszystkim ona — a nawet: jedynie ona — umiała w tym domu okazywać męską, nie do prześlągania twardość i surowość. A w stosunku do Henryka umiała nawet zdobyć się czasem na skąpą, rzadko wydzielaną, ale matczyną jakby czułość.

Babkę bowiem stać było na wszystko. I nawet jej niepozorna, niegodna herbu, tradycji i majątku śmierć nie przekreśliła prawdy głównej: była to kobieta o niewątpliwych znamionach wielkości. Sama babka wiedziała o swej sile najlepiej. I ta właśnie wiedza dawała jej nieustanną i niezachwianą pewność zwycięstwa nad każdym, nad każdą i w ogóle zawsze! Owo wspaniałe zaufanie do siebie samej — do swej niespornej znajomości Boga, świata, życia i ludzi.

Albowiem babki nie umiał zwyciężyć nawet sam Pan Bóg. Tenże Pan Bóg, którego przecież sama starała się czujnie, choć nie bez oschłości, szanować.

Rodzaj krótkiej, wstępnej walki — a raczej bitwy — rozgrywał się każdego sobotniego popołudnia i trwał poprzez wieczór i noc aż do niedzielnego poranka. Co sobotę babka przystępowała do spowiedzi, więc nic tego popołudnia nie zmusiłoby jej do grzechu, do podniesienia głosu lub ręki na osoby i przedmioty najbardziej winne.

Babka cichła i — jak mawiał ze swym nieprzytomnym wzruszeniem dziadek — zamykała się w sobie.

— Chwila pokory, Henryczku — uśmiechał się do siebie dziadek — chwila religijnej ciszy i pokory, mój wnuku, jest dla nas pięknym wzorem i przykładem. Winniśmy równie gorąco jak ona czcić i wielbić Stwórcę.

Sam zresztą spędzał sobotnie popołudnie na szachach w Kawiarni Angielskiej — wracał później niż zwykle, uśmiechał się szerzej niż zwykle. Mimo to wieczory były ciche.

Babka jednak nie umiała ulegać żadnemu z ludzkich i ponadludzkich autorytetów — komunię przyjmowała na dziesiątówce, głód zaś, który psuł jej cały wczesny ranek, objawiał się natychmiast po powrocie do domu wspaniałym wybuchem:

— Śniadanie! — krzyczała. — Czy nie mogę raz wreszcie doczekać niedzieli, którą bym mogła nazwać spokojną? Henryk jeszcze nie ubrany! Fajka Antoniego śmierdzi w całym domu! Pod kredensem świństwo, w całym domu smród i gnój!

A więc także w tych wysokich regionach odnosiła zwycięstwo, bez żadnego wahania. Dziadek nawet nie śmiał wtedy zająć się swymi dalekimi myślami i uśmiechami. Rozcierał dłonie z szybką pokorą i pełen wzorowej dyscypliny powtarzał ostatnie słowo z każdego zdania babki.

— ...ubrany... w domu... świństwo... gnój...

Babka, znów wielka i zwycięska, szła do pokoju wuja Antoniego, by mu wyjaśnić, że jeśli chce palić fajkę, to powinien mieć przynajmniej tyle szacunku dla matki, by wychodzić na dwór. Wuj czasem tylko milczał za drzwiami swego pokoju zamkniętymi na klucz. Wtedy dostawało się Henrykowi, najczęściej zaś starej Hani, służącej.

— Pod kredensem świństwo! Na szafie aż czarno!

— ...czarno — kiwał głową dziadek.

Henryk zapamiętał sobie babkę jako człowieka, który żyje stojąco i chodząco. Była wyższa od wszystkich domowych nie tylko w przenośnym sensie — była wysoką, czarno ubraną kobietą o zwięzłej twarzy i również zwięzle czesanych włosach. Siwa, sucha, prosta. W gniewie jej twarz ścinała się w ostre zmarszczki. Już to było krzykiem.

Tak! Babka, nawet patrząc ku górze, patrzyła z góry. Ktokolwiek więc próbował z nią walki, uchodził w jawnym lub skrytym popłochu. Przecież nawet Panu Bogu nie udawało się zwycięstwo nad jej niezłomną duszą.

Na takim tle dziadek był przybyszem nie z tego świata. Po prostu wyprowadził się do innego wymiaru niż ten, w którym zniszczyłaby go babka. Żył w świecie doskonałym: uśmiech, zamyślane milczenie, aksamitna bonżurka emerytowanego wicedyrektora banku, filcowe haftowane pantofle.

Właśnie choćby to: gdy przez pokoje szła babka, każdy krok stukał korkami butów, aż ściany niosły echo — dziadek natomiast tylko skrzypiał parkietem. Dyskrecja, ufność i tkliwość, oto smaki jego życia. Tu też przyczyna tak zdumiewającego faktu, że słowa babki

spływały po nim jak woda. Oczywiście nie było mowy o jakichkolwiek bądź wykroczeniach przeciw ustanowionej — raz na zawsze! — dyscyplinie. Ale nietrudno było odgadnąć, że on właśnie nie tchórzy wobec tamtych wspaniałych gniewów. On po prostu nie bardzo był. Milczał, zacierał dłonie z należytą dyskrecją — z należytą tkliwością przechylał głowę na ramię — ufnie patrzył ku podłodze. Jak można zwyciężyć tego, którego nie ma?

Natomiast biedny wuj Antoni mimo wszystko istniał.

— Fajka znów śmierdzi w całym domu!

Wuj chciał tak jak dziadek: żeby nie być. Zamykał się w swoim pokoju na klucz, wierząc, że cała tamta złość nie potrafi go osiągnąć. Czasami udawało się. Ale przeważnie przegrywał już po dwóch, trzech minutach: babka stawiała przed zamkniętymi drzwiami nie podnosząc nawet głosu i choć przez chwilę wuj Antoni utrzymywał się na powierzchni, to jednak tylko przez chwilę. Gubiły go resztki poczucia własnej godności. Zaczynał krążyć między ścianami zamkniętego pokoju. Coraz głośniejsze — coraz szybciej. Z trzaskiem dwu czy trzech zapalek zapalał fajkę — ponosiła go złość: zaczynał odpowiadać półgłosem, potem głośniejsze, jeszcze głośniejsze. Na koniec z trzaskiem otwierał drzwi. Zawsze po swojej klęskę. Jeszcze zdążał zadać dwa lub trzy pytania:

— Czy mama raz wreszcie?... — albo: — Czy mama nie potrafi?...

Babka milczała uśmiechając się ironicznie:

— Czy mama — tonął Antoni — nie rozumie?...

Babka wzruszała ze skończoną pobłażliwością ramionami i odchodziła „do swojej roboty”, nic więc dziwnego, że zapach fajki znikał z domu na dwa, trzy dni. Na dwa, trzy dni spokoju.

Służąca Hania nie śmiała choćby myśleć o jakiegokolwiek walce. I właśnie na jej klęskach, a także na klęskach wuja Henryk uczył się pierwszych zasad tego poczucia humoru, któremu hołdowała babka. Omawiali owe zdarzenia:

— Widzisz — mówiła babka siadając do pasjansa przed jasnymi oknami jadalni — oni sobie wyobrażają, że jestem stara. — Stara... — zaczynała się pogardliwie uśmiechać i Henryk z usługną gorliwością powtarzał ów uśmiech. No i kłamał jak dziadek:

— Babcia wcale nie jest stara.

— Widzisz. Twoja matka była inna niż oni — całowała go w czoło ze skrupulatnie obliczoną czułością. — Mam nadzieję, że i ty, dziecko, potrafisz rozumieć mnie tak jak ona. — I po chwili: — Choć i ona... nawet ona...

Henryk uśmiechał się coraz czulej. Udawał, że nie dosłyszał zmiany głosu. Zmieniał temat.

— A ja na przyszły rok pójde do szkoły.

— Pójdiesz. — I tu szept: — Tak jak ona.

Pasjans rozwijał się w pawie ogony, płynął po stole, szeleścił kartami. Okna jadalni nagrzewało słońce, a reszta domu milkła i cichła. Henrykowi chciało się spać, łapał leniwie muchy, podśpiewywał piosenkę nabytą od dziadka:

— O, du lieber Augustin, Augustin, Augustin.

Więcej słów nie pamiętał.

— Aaa-augustin — ziewał.

Dziadek zaś spacerował sobie do taktu tego ziewania po skrzypiącym parkiecie.

Tak więc był to dom starych, baaardzo starych ludzi. Wuj Antoni — jedyny niby młodszy, innego niby pokolenia niż tamci, człowiek — mieszkał w owym domu po trosze jak za morzem. Jak na wyspie. Drzwi łączące jego ubogi pokój z bogatym salonem zasłonięto — od strony salonu — grubym kilimem. Zresztą... cóż można mówić o młodości w związku z wujem Antonim i jego fajką? Wysoki, chudy, łysy jak listonosz, był w oczach Henryka rówieśnikiem swych rodziców.

Czasami jednak marna osoba wuja urastała do najgroźniejszej i najwyższej godności. W sobotnie bowiem przedpołudnia babka zasiadała do rachunków pieniędzy i rachunków sumienia za cały tydzień. Liczyło się wszystko. Jeśli więc Henryk zasłużył na karę, babka powoływała do jej wykonania właśnie ową tak zazwyczaj nieważną osobę. Działo się to dość rzadko. Wystarczy jednak, by nie zapomnieć: po powrocie wuja z biura i po obiedzie, a tuż przed wyjściem do kościoła, babka mocno trzymając wnuka za rękę wzywała wuja i zwracała się doń z łagodną prośbą:

— Antoni, bądź łaskaw... — na podłodze w jadalni leżał strącony piłką flakon — bądź tak dobry...

— Patrzcie — dziwił się wuj — patrzcie, patrzcie: a więc zbiliśmy flakon. Taki piękny flakon.

Wuj ujmował dłoń Henryka w swoją i prowadził go za sobą. Jego dłoń była wystarczająco chłodna i wilgotna, by wpięrw zatrząść się ze wstrętu, potem ze strachu. Mijali kuchnię i przesiąknięty zapachem fajki przedpokój. Przez drzwi pokoju wuja Henryk szedł już przodem.

Wuj stawiał Henryka obok biurka, z szufladki wyjmował trzcinę i kładł ją na krześle, sam zaś rozsiadał się z westchnieniem wygody w fotelu pod oknem. Zabierał się bowiem do czytania książki.

W pokoju rosła zła cisza. Był to pokój frontowy, lecz ulica pełna kasztanów, bzów w ogrodach przed kamienicami i powolni przechodnie — nic tu nie głużyło szelestu przewracanych kartek, wuj zaś co chwila podnosił oczy na Henryka.

Czasem jedną taką godzinę pamięta się za wszystkie. Henryk spamiętał: w ciszy szybko przebrzmiał jasny śmiech idącej ulicą dziewczyny. Zaraz potem w którymś z zakamarków pokoju — pewnie za piecem — pajak pochwycił swój posiłek, a mucha w przecuciu szybkiej śmierci wybuchła muszym wrzaskiem. Wuj nie bez ironii stulił wargi w trąbkę. Na nic się nie zdały postanowienia, że nie ma tu miejsca na żaden płacz.

— Wuju...

Znów długa chwila ciszy. W końcu podnosił głowę znad książki.

— Wyciągnij rękę.

— Wuju... ja... — mucha wrzeszczała pod samo niebo — ja nie chciałem... nie chciałem... nie chciałem!

Wuj uśmiechał się jak dziadek, jak przez mgiełkę.

— Patrzcie, patrzcie. Nie chciałeś — zamyślał się z dość nawet bolesną troską — ty nie chciałeś. A tymczasem był flakon... i, ot, nie ma flakonu. Takiego pięknego flakonu. Wyciągnij rękę... — kończył sennie.

— Wuju!

Wybuchł płaczem z samej głębi strachu. Wtedy wuj szybkim ruchem zrywał się z fotela, uderzał nieomylnie w środek wyciągniętej dłoni i wyprowadzał do przedpokoju.

— Widzisz, widzisz! — szeptała po powrocie ze spowiedzi ze łzami w oczach babka. — Widzisz, mój biedaczku, jaki to niedobry, zły wujek.

Siedziała przy pasjansie i łagodnie słuchała cichnącego płaczu Henryka. Przez środek dłoni nabrzmiewała coraz czerwiejsza, coraz lepiej wyczuwalna pręga. Mniejsza zresztą o ból, o wstyd i płacz, mniejsza o wszystkie inne upokorzenia. Nie do zniesienia jednak była ta myśl: że właściwie nikt... że właściwie nikogo... tak, żadnego przyjaciela! Nawet psa, nawet kota nie spotkasz na tych pokojach.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI